

Pałeczka tyrolska

Autor: Jacek Józwiak

O tym jak zwiększyć zasięg rzutu lekką przynętą. Jak prowadzić niewielkiego woblera tuż przy dnie albo w pół wody. O legendarnej i niemal nieznannej w Polsce pałeczce tyrolskiej.

O łowności woblerów przekonany jest niemal każdy spinningista. Przynęty te mają jednak swoje ograniczenia. Pierwszym - i bodaj najważniejszym - jest cena tych wabików. W porównaniu do gum, blach i błystek obrotowych są one o wiele droższe, co znacznie ogranicza ich użycie. Ekonomia jest jednak wskaźnikiem pozamerytorycznym... Najpoważniejszym ograniczeniem dla woblerów jest ich "zasięg".

Najatrakcyjniej pracujące woblerzy - modele pływające - nie zanurzają się zbyt głęboko. Nawet najznakomitsze deep runnery nie zanurkują głębiej niż na 4-5 m pod powierzchnię i między bajki raczej włożyć należy zapewnienia producentów, że ich przynęty potrafią penetrować 7-9. metrowe głębiny.

Od dawna więc spinningiści, dla których woblerzy są najskuteczniejszymi przynętami, próbują je sprowadzić głębiej. Problem rozwiązali zwolennicy trollingu, projektując down riggery, ciężary na stalowej linie, które dając się prowadzić za łodzią nawet na trzydziestometrowej głębi i za pomocą specjalnej klamry na tę samą głębokość sprowadzają każdą przynętę, z woblerem włącznie.

Ale co ma począć prawdziwy spinningista, miłośnik woblerów, który na swym ulubionym zbiorniku zaporowym odkrył 10 metrową toń zamieszkałą przez ogromne sandacze? Czy musi się przetrząsnąć na rippery i twistery?

Bynajmniej! Ulubioną przynętę można sprowadzić w pobliże dna na wiele sposobów. Najprostszym i od dawna używanym jest ułożenie pół metra przed wabikiem zastopowanej ołowianej oliwki. Jednak to rozwiązanie, jak i zalecany przez wielu autorów boczny trok z ołowianym obciążeniem, to prawdziwa zmora spinningistów. Nawet najbardziej doświadczonym i wytrenowanym zwolennikom tej metody nie udaje się uniknąć niewiarygodnie skomplikowanych splątań zestawów.

Gdzie wymyślono pałeczkę tyrolską - nikt nie wie. Zapewne w kilku miejscach naraz. Prawdą jest, że używana jest przez wędkarzy w tym rejonie Niemiec, prawdą jest jednak i to, że łowi się za pomocą tego typu urządzenia i w głębokich kanałach Holandii, i na szwedzkich szkiełach, i na skaskadowanych rzekach Francji. Najpopularniejsza jest z pewnością tyrolska pałeczka wśród spinningistów amerykańskich i kanadyjskich, którzy nie mają najmniejszych oporów przed komplikowaniem swoich zestawów. Na polskim rynku od kilku lat można gdzieś kupić gotowe pałeczki tyrolskie. Jest ich jednak coraz mniej - z racji kompletnego niemal ignorowania przez polskich spinningistów. Jeden z moich niemieckich przyjaciół zauważył wręcz, że w Polsce spinning ma najbardziej chyba "czystą postać".

Może warto zbrukać nieco tę tradycję, wykonując samodzielnie kilka tyrolskich pałeczek na początku sandaczowego sezonu? Nie ma się co rozwodzić nad technologią, gdyż wszystko wyjaśnia rysunek.

Zastopować pałeczkę na linie można poprzez drewniany kołeczek, wciśnięty (z żyłką) w igelitową rurkę. To prosty i niegłupi pomysł. Bynajmniej żyłki nie osłabia, jeśli tylko jest odpowiednio obrobiony (na półokrągło), za to pozwala na natychmiastową wymianę całej pałeczki. Zwolennicy tradycyjnego stopowania za pomocą śrucin także mogą wymieniać - tyle, że sam ołowiany pręt.

Warto spróbować. Wystarczy kilkanaście rzutów, by nauczyć się w odpowiedniej chwili powstrzymać wysnuwanie się żyłki poprzez położenie palca na rancie szpuli - zapobiega to splątaniu zestawu. Rzuty, rzecz jasna, płaskie... Warto, choćby dlatego, że podczas gdy sandacze przestają niekiedy reagować na gumy, to w woblera biją niemal zawsze.